

EWA CHOTOMSKA

Hopsas a
Felka Pareras a"

Ewa Chotomska
Hopsasa Felka Parerasa

© by Ewa Chotomska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Katarzyna Kołodziej

Korekta: Lidia Kowalczyk,
Aleksandra Różanek, Joanna Pijewska

Wydanie I
ISBN 978-83-7672-423-2

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

EWA CHOTOMSKA

Hopsasa
Felka Parerasa



Mojej wspaniałej Rodzinie



*Dzień dobry, dzień dobry –
witają was po latach
ogonek i pyszczek,
i każda moja łapa!
Uśmiecham się pięknie,
zasiadam do pisania
i tych, co lubią książki,
zapraszam do czytania!*

Tym wszystkim, którzy nie znają mojego wcześniejszego pamiętnika, przedstawię się – nazywam się Felek Pareras. Brzmi przepięknie, nie sądzicie? Jestem wielorasowcem albo, jak kto woli, mieszańcem, patchworkiem, kundelkiem spod Celestynowa. To miejscowość koło Otwocka. Otwock leży blisko Warszawy, stolicy Polski.

Jak przez mgłę pamiętam czasy mojego dzieciństwa. Jako małolat zostałem przygarnięty przez moją kochaną człowieczą rodzinę. Od dwunastu lat mieszkam w Warszawie z Moją, jak nazywam panią Karolinę, i mamą Mojej. Przez lata nasza rodzinka powiększyła się o pana Tomka – męża mamy Mojej, oraz pana Piotra – męża Mojej, a także o ich córeczkę Zuzię.

Pewnie trudno wam to wszystko zapamiętać. Ja też miałem z tym małe trudności, ale w końcu je pokonałem. A ponieważ Moja mieszka sto kroków od swojej mamy, mam dwa domy, co bardzo sobie chwalę. W dwóch domach mam dwie stołówki, do których zawsze kieruję się po wejściu do środka. Moja karmi mnie najczęściej suchą karmą. Nie jest to to, co Felusie lubią najbardziej. Więc kiedy tylko nadarzy się okazja, a nadarza się bardzo często, biegnę ochoczo do domu mamy Mojej. Wiadomo, że najlepsza kuchnia jest u babci, a przecież mama Mojej jest dla mnie babcią. Niemal codziennie z tamtejszej jałdodajni rozchodzi się aromat świeżutkiego mięska. Jakże więc tego nie zjeść?

Amatorem babcinej kuchni jest Ruda, moja młodsza koleżanka. Spotykamy się czasem na spacerze na Mazurach. Nie tych prawdziwych, jak tłumaczy Moja, które są w północnej części Polski i słyną z tysiąca pięknych jezior. Nasze małe Mazury to teren za płotem. Ciągle jeszcze dość dziki, pełen wysokich traw, drzew i krzaczków, za którymi przepływa niewielki kanałek. Wspaniały teren na rekreację i psi fitness!

Spotykają się tam właściciele czworonożnych z całej okolicy. Chociaż jest ich bardzo wielu, ja najbardziej lubię Rudą. Wiadomo, dziewczyna, i to młodsza ode mnie, więc myślę, że jestem dla niej autorytetem, kimś godnym naśladowania. Ruda jest rzeczywiście ruda. Przypomina małego liska. Uwielbia biegać po łące i kąpać się w naszym kanałku. Niestety, woda w nim nie zawsze jest czysta, więc potem jej państwo mają z nią kłopot.

Jak byłem młodszy, to często się tam kąpałem. Uwielbiałem też porządnie się wytarzać w napotkanych nieczystościach albo pozostałościach po martwym ptaku. Czymś z „odpowiednim” zapaszkiem. Psie małolaty czasem tak mają. Większość z tego wyrasta. Mam nadzieję, że i Ruda kiedyś zmądrzeje. Niestety, ma ona jeszcze jeden okropny nawyk – zdarza się, że przy okazji spaceru jak huragan wpada do naszego domu i z szybkością komety opróżnia



do czysta moje blaszane miseczki. Bardzo tego nie lubię. Ale czego się nie robi dla dziewczyn! Podkulam ogon i jej wybaczam.

Zachęcony przez Rudą opanowałem grę we frisbee, czyli łapanie pyskiem krążka przypominającego plastikowy talerz. Uczestnicząc w tych zabawach, mama Mojej ułożyła nawet specjalną rapowankę, którą zagrzewała mnie i Rudą do łapania.

*Łąka, lasek, krzak,
czworonożny rap!
Rap na osiem łap,
na wielki chap!
Ruda, frisbee łap!
Feluś, zobacz jak,
i zrób wielki chap!
Talerz zręcznie złap!
Rap na osiem łap,
czworonożny rap!*

Uważam, że ten sport jest równie ważny dla naszego psiego rodu jak dla ludzi tenis. Gorąco do jego uprawiania namawiam. Kto wie, może kiedyś ktoś specjalnie dla nas zorganizuje takie talerzowe rzucańcowe zawody?

Szkółka dobrych manier

Sam pomysł rzucania i łapania nie był dla mnie niczym nowym. Sprawność tę ćwiczyłem w Szkole psiej elegancji i dobrych manier, do której przez jakiś czas uczęszczałem... Trafiłem tam z ogłoszenia, które Moja znalazła gdzieś na słupie ogłoszeniowym. Dzięki promocji można się było zapisać na zajęcia za półdarmo. Nie bardzo rozumiałem to „półdarmo”. Albo się za coś płaci, albo jest za darmo. Ale półdarmo?

Moja, wielbicielka wszelkich promocji, założyła mi obrożę i kaganiec i zawiozła pod wskazany adres. Zajęcia odbywały się w sobotnie przedpołudnia na pobliskim stadionie. Specjalni treserzy – miłośnicy czworonogów – szkolili swoich uczniów, pokazując różne gesty i wydając polecenia. W ten sposób zachęcali nas do ich powtarzania.

Uczniów w tej sobotniej szkółce było bardzo wielu. Dziewczynki i chłopaki, psiaki małe i duże, zarówno młodzieniaszki, jak też – podobnie jak ja – całkiem już dorosłe psy. Co tam się działo! Większość z nas, trzymany przez właścicieli dość krótko i mocno, dwoiła się i troiła, aby zerwać się ze smyczy. Nic z tego. Kadra doskonale wyłapywała wszelkie próby ucieczki i specjalnymi nakazami i zakazami towarzystwo uciszała.

Niektórzy z nas z zasady byli niechętni wykonywaniu jakichkolwiek poleceń. Może nie rozumieli sensu tej nauki? Ale instruktorzy zazwyczaj potrafili znaleźć sposób, aby zachęcić ich do sztuczek. Tych, którzy bardzo wolno zapamiętywali przerabiany materiał, instruktorzy zapraszali na korepetycje – kursy dodatkowe.

Myślę, że Moja była zadowolona z moich postępów w nauce. Jestem przecież pojętnym uczniem. Nauczyłem się stać przy nodze, warować, czyli przy niej leżeć, i apor-tować – znaczy przynosić polecony przez nauczyciela przedmiot do pani. Jednak nie zawsze chciałem go oddać. Bo jak tu oddać piłeczkę, którą tak lubię się bawić? Czasem obawiałem się, że mi ją po prostu zabierze, bo zdaje się, że niejednokrotnie miała już dość tych moich wybryków. Nie rozumiem dlaczego, przecież to takie przyjemne. Najlepiej opanowałem sprawność przynoszenia kapci, które Moja zabierała na zajęcia z domu.

W szkole nauczyłem się też nie szczekać bez okazji, co bardzo sobie cenił pan Tomek, mąż mamy Mojej. Z bólem serca musiałem też opanować zakaz porywania smakowitych kąsków z szafek i stołów. Opanowanie tej sprawności było dla mnie najtrudniejsze.

Odbierając z rąk prowadzącego kurs specjalny dyplom ukończenia szkoły, Moja usłyszała:

– Gratuluję, pani Karolino! Z pewnością będą jeszcze z Felusia psy!

Jakie psy? O czym ten pan mówi?

Przerażony wieścią, że chcą mi zrobić krzywdę, przybrałem chyba bardzo obolały wyraz pyska, co Moja w mig

pojęła. Wytłumaczyła mi, że jest takie powiedzenie: „Będą z niego jeszcze ludzie” i że jest to nic innego, jak pochwała dobrego zachowania albo osiągniętego sukcesu.

Podbudowana tą wiadomością Moja, wracając ze mną do domu, zahaczyła o mój ulubiony sklep mięsny. Ma się rozumieć, że ja – Pareras – musiałem poczekać na zewnątrz. Piesków do sklepów z jedzeniem nie wpuszczają, musimy się więc wtedy uzbroić w cierpliwość. Pozostaje nam tylko liczyć na dobry gust pani lub pana, którzy osobście wybiorą nam jakieś psie smakołyki. Tym razem zostałem obdarowany wyjątkowej urody kością.

I jak tu nie kochać takiej pani?

